

arena11

Pismo Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich
Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów

Lucyna Krupa | Bolesław Bieniasz

Gitta Rutledge | Wiesława Siemaszko-Zielińska

Halina Godecka | Bożena Sroka

Ewa Michałowska-Walkiewicz | Stefan Godecki

M a r e k

Pawłowski

P o l s k a

zwyczajna miłość

tak - to stało się tak nagle...
gdy upiłaś mnie słowami
głos Twój szumiał niczym fale
potrącane wciąż ustami.

jeszcze wtedy nikt nie wiedział
gdy wpadliśmy w swe ramiona,
że to właśnie była miłość
nie zakłęta jeszcze w słowa.

zapatrzeni ślepo w siebie
słuchaliśmy mowy ciała.
zapach myśli nas rozbierał,
czas to ruszał... to zamierał

dzisiaj nie wiem już jak bardzo
byłem Tobą a Ty mną.
wieczne szczęście nam się śniło
to nie była zwykła miłość...

zbyt wiele?

jest takie miejsce - dla uśpionych nadzieja
azyl dla tych samotnych...
złapani w tryby życia, szukając po omacku -
nie znajdujemy szczęścia.

jest takie miejsce - gdzie z uśmiechem ktoś czeka
schowany ma dla nas czas...
w pogoni za życiem, nie potrafimy zwolnić.
na miłość nie ma już szans.

bez spełnionych obietnic, tak porzuceni w drodze
my - skazani na siebie
razem – a ciągle osobno, milcząc wołamy o pomoc
cisza nam krzyżeć pomaga.

sami... samotni... zbłąkani... szukamy tego miejsca -
najpiękniejszej szczerości -
bez kolców, szponów i zdrad... my - samotni wśród ludzi
pragniemy szczęścia w miłości
czy żądamy zbyt wiele?



Koleżanki i Koledzy!

w tym roku spotykamy się w Tarnowie i zwiedzimy jego okolice m.in. malowaną wieś Zalipie. Pamiętam jak pierwszy raz z prof. Reinfussem przyjechałam do Zalipia do domu pp. Wojtytów. Byłam oczarowana ludźmi ich pracą, chęcią zdobienia własnych domów, obejść przedmiotów użytkowych. Z tamtych lat pozostały mi rysunki dzieci, kilka pięknych talerzy i kolorowe wspomnienia z lat studenckich. Zresztą Małopolska ma wiele urokliwych miejsc związanych z Matejką, królową Boną, Mehofferem. tak można wyliczać niemalże bez końca, a każde nazwisko będzie doskonałością w naszej historii.

Ostatnio byłam ze znajomymi w muzeum w Pieskowej Skale koło Ojcowa w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Chciałam podzielić się z Państwem kilkoma refleksjami. Wielokrotnie bywałam w Pieskowej Skale wiele lat temu z racji studiów w Krakowie, toteż zderzenie się ze współczesnością było przykre. W drzwiach witał nas młody człowiek w sposób kategoryczny każący założyć brudne, pełne kurzu kapcie w rozmiarze 43- 45. Nie było tłumaczenia, że są wśród nas osoby mające kłopoty z chodzeniem.

— To jest muzeum Wawelu i takie są rozporządzenia- usłyszeliśmy.

Jeśli muzeum pod zarządem Wawelu, no to spodziewam się, że po gruntownym remoncie jakie przeszło pod koniec lat 70-tych wejdę do bajkowego świata polskich królów. Niestety, nic bardziej mylnego. W oglądaniu wystaw przeszkadzają wielkie kapcie, których trzeba pilnować żeby się o nie, nie potknąć i w nie, nie zaplątać. Przez szklane gabloty oglądamy wycieczki, które przeszły przed nami, bo niewielkie eksponaty giną na ich tle w przeszklonych gablotach. Panie pilnujące napominają, żeby zdjąć nie robić, bo nie wolno ze względu na światło, mimo że od jakieś 20 lat oświetlenie w aparatach cyfrowych zostało tak zmienione, że jest dla obrazów nieszkodliwe. Zresztą i tak niewiele poza grubą warstwą werniksów widać na źle oświetlonych twarzach szacownych dam i rycerzy.

A doskonale pamiętam, że tak tam nie było! Dlaczego się uwsteczniamy, bo taka moda, bo samo cenzura, bo co???

Przykre, ale wynagrodziło mi te odczucia muzeum w klasztorze w Czernej i pyszna zupa porowa z cebulą. Nie zmienia to jednak niezaprzeczalnej prawdy, że warto i trzeba zwiedzać nasz kraj, Europę, Świat, bo tylko wtedy możemy to Życie i swoje w nim miejsce zrozumieć, uczyć się tolerancji i dążyć ku nowoczesności.

Cieszę się, że znowu się spotykamy, że razem możemy przyjrzeć się bliżej naszemu wielo kulturowemu dziedzictwu, które dla nas może być inspirujące wśród kolorowych okoliczności jesieni.

Życzę miłej lektury naszego 11 numeru.

Lucynie Krupie-Szado dziękuję za organizację naszego spotkania w Tarnowie, a autorom, za nadesłane do nas teksty.

Halina Godecka
Prezes Zarządu Stowarzyszenia

Zapraszam do

Tarnowa

Lucyna **Krupa**

5

Koncert Karola
Mossakowskiego

wrażenia, refleksje, odległe
wspomnienia

Bolesław **Bieniasz**

8

Wiersze

Gitta **Rutledge**

10

Listopadowe cienie

(frag. książki)

Wiesława **Siemaszko-Zielińska**

11

Halina **Godecka**

500 lat tartouffoli na stole

13

Bolesław **Bieniasz**

PSYCHOTERAPIA

opowiadanie folklorystyczne

16

Spacerkiem po Nikiszu

Bożena **Sroka**

18

Stefan **Godecki**

Pocztówki z wakacji

20

Bolesław **Bieniasz**

M A E S T R O

JERZY GERT

wspomnienie o artyście

20

Ewa

Michałowska-Walkiewicz

Krynki

23

Stefan **Godecki**

Pocztówki z wakacji

25

Ewa

Michałowska-Walkiewicz

Krynica-Zdrój

27



Międzynarodowe Stowarzyszenie
Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów
z Siedzibą w Malme
arena

redakcjaarena@malme.eu

www.malme.eu

Redaktor naczelna

Halina Godecka

Zespół redakcyjny

Członkowie Stowarzyszenia

Opracowanie graficzne

Tomasz Kowalski

Zapraszam do Tarnowa



Lucyna Krupa

Polska

Październik, to właściwie środek Polskiej Złotej Jesieni. Dobry czas na spotkanie w Tarnowie. Jesteśmy już po szaleństwach wakacyjnych, przygotowani na nowe ciekawe doznania turystyczne.

Na początek zapraszam Was na tarnowską Starówkę.

Jest jednym z najpiękniejszych przykładów renesansowego układu architektonicznego polskich miast i nazywana jest „perłą polskiego renesansu”. Centralnym miejscem jest rynek, wytyczony w chwili lokacji miasta w 1330 r. W dniu 7 marca 1330 r. kancelaria królewska króla Władysława Łokietka, wystawiła Spycymirowi – wojewodzie krakowskiemu – dokument, na mocy którego mógł lokować miasto Tarnów.

Z geograficznego punktu widzenia miasto założono na wzgórzu dominującym nad najbliższą okolicą (226 m n.p.m.). Warto zaznaczyć, że Średniowieczny układ starego Tarnowa zachował się do dzisiejszych czasów.

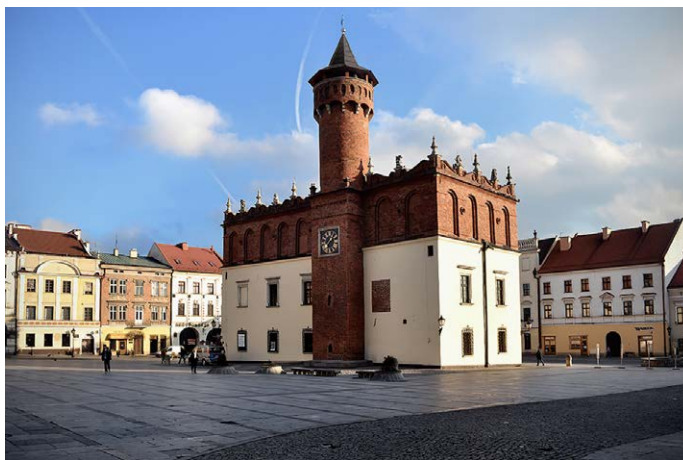
Podstawą rozwoju Tarnowa był przebiegający przez miasto szlak handlowy prowadzący z Niemiec na Ruś, krzyżujący się ze szlakiem biegnącym z Węgier na wybrzeże Bałtyku.

Tarnów był miastem prywatnym do roku 1787. Jego największy rozwój przypada na wiek XVI. Dziedzicem Tarnowa był wówczas Jan Tarnowski, hetman wielki koronny, znakomity gospodarz i organizator. W roku 1536 w obrębie murów stało 200 domów mieszkańskich i mieszkało około 2 tys. mieszkańców.

Od 1567 do 1787 r., czyli w ciągu 220 lat, liczne pożary, zarazy, następnie wojny, a przede wszystkim chciwość właścicieli, zrujnowały dobrobyt miasta.

Ponownie miasto zaczyna się rozwijać dopiero od końca XVIII w. W 1782 r. staje się siedzibą powiatu, w 1786 r. siedzibą biskupstwa. Stacjonuje tutaj również liczny garnizon wojska.

XIX wiek to okres prowadzonych z rozmachem prac urbanizacyjnych. W 1870 r. Tarnów liczy już 21.779 mieszkańców i jest



Tarnobrzegski ratusz. Fot. Wiki

trzecim miastem pod względem liczby ludności w tej części kraju, po Lwowie i Krakowie.

Gdy wybuchła I wojna światowa, w sierpniu 1914 r., tarnobrzegianie chętnie śpieszą do Legionów Polskich. W końcu października 1918 r. Tarnobrzeg jako pierwsze miasto w Polsce odzyskało wolność.

W okresie II Rzeczypospolitej.

W latach 1918–1939, miasto dalej się rozrasta i staje się ważnym ośrodkiem przemysłowym.

W dniu 28 sierpnia 1939 r., na dworcu kolejowym w Tarnobrzegu, wybuchła bomba zegarowa, pozostawiona przez niemieckiego dywersanta. W wyniku wybuchu zginęło 20 osób. Można więc powiedzieć, że II Wojna Światowa zaczęła się w Tarnobrzegu. W dniu 14 czerwca 1940 r., spod żydowskiej łaźni wyruszył pierwszy transport do obozu zagłady KL Auschwitz. Więźniowie z Tarnobrzegu (728 osób) byli pierwszymi ofiarami obozu – mieli najniższe numery.

Tarnobrzeg od wieków był przystanią dla przybyszów: Żydów, Niemców, Ukraińców, Szkotów, Austriaków, Czechów i innych.



Widok z wieży ratuszowej w Tarnobrzegu. Fot. Wizardscout

Każda z tych nacji, każda nowa kultura pozostawiła tu swój trwały ślad. Można więc miasto zwiedzać szlakiem włoskiego renesansu, albo śladami generała Józefa Bema i serdecznych związków polsko-węgierskich, można też zanurzyć się w płataninę ścieżek żydowskich, aby zadumać się nad resztkami synagogi i skłonić na kirkucie przed pomnikiem tysięcy pomordowanych żydowskich obywateli miasta. Można też doznać uniesień podczas poznawania prawdziwych skarbów sztuki na szlaku tarnobrzegskich kościołów, wśród których jak perła błyszczy Bazylika Katedralna z monumentalnymi nagrobkami rodziny Tarnobrzegskich i Ostrogskich, a obok znajduje się Muzeum Diecezjalne ze swą bezcenną kolekcją.

Zapraszam Was zatem na wieczorny spacer ulicami Tarnobrzegu

Kolorowy zawrót głowy czyli zalipiańskie arcydzieła

Nasz drugi dzień w Tarnobrzegu to wycieczka ... w krainę malowanych zalipiańskich zagrod. Zalipie uchodzi za najładniejszą i najbardziej malowniczą wieś w Polsce i jedna z trzech malowanych wsi tego typu w Europie. W Zalipiu panuje tradycja ozdabiania domów i zagrod malowanymi kompozycjami kwiatowymi. Małe dzieła sztuki zdobią nie tylko domostwa, ale i bramy, budy dla psów, studnie, ule, kapliczki. W skrócie, artystyczną wizję można tu zrealizować niemal wszędzie. Zwyczaj wcale nie jest tak stary,



Zalipie — studnia i chata przed Domem Malarek. Fot. Jakub Hałun

jak może się wydawać – liczy sobie niespełna 100 lat. Pionierką i najbardziej znaną przedstawicielką była Felicja Curyłowa (zm.1974r.). W wieku 10 lat Curyłowa zaczęła ozdabiać swój dom kolorowymi malowidłami. Na pierwszy ogień poszedł

czarny okocony piecem sufit. Po kilku dniach został rozjaśniony białymi kwiatami. Stopniowo wizje artystyczne młodej wówczas malarki pochłaniały, coraz to większą powierzchnię mieszkania. Pomysł spodobał się mieszkańcom, którzy również zaczęli ozdabiać swoje domy kolorowymi kwiatami i tak tradycja zdobyła popularność w całej wiosce. Początkowo zamiast pędzli używano do malowania słomy, patyczków z brzozy, a później zastąpiły je końskie włosia. Jak widać, gospodynie potrafiły sobie poradzić z każdą przeszkodą, aby tylko realizować swoje kolorowe wizje.

Zalipiańskie malowanie to ewenement na skalę światową, ale nie wiadomo, czy by tak było, gdyby nie fascynacja tą malaturą ze strony badaczy sztuki ludowej i przychylność ówczesnych władz. Dwa lata po zakończeniu II wojny światowej tak się zachwycono malowidłami kobiet z Powiśla Dąbrowskiego, że postanowiono urządzać konkursy na malowane chaty.

Kobiety, zachęczone i doceniane, nie dały się długo prosić, ich potrzeby estetyczne duszone przez czas wojny nagle wybuchły jak lawina. Kolorowe zagrody mnożyły się, a każda malarka starała się po swojemu dobrać kształty, kolory, wielkość kwiatów i wzorów, wszystko według własnego gustu.

Przechodzień idący drogą zachwyca się bajecznymi zagrodami nawet w pochmurny, deszczowy dzień, ale dopiero to, co czeka go w środku domów, zapierało dech w piersiach: ściany i sufity całe w kolorowych bukietach, w oknach firanki pomalowane i powycinane (tzw. wycinanki), na piecach i w kredensach ozdobione naczynia, u sufitu wiszą pająki z kolorowych bibułek i słomy. Na stołach haftowane obrusy i serwetki, a w kufrach odzież -niejednokrotnie również malowana lub haftowana. Co roku po Bożym Ciele w Zalipiu odbywa się konkurs pt: „Malowana Chata” na najładniej ozdobiony dom. Jury w składzie etnografów tak naprawdę każdej malarce przyznaje nagrodę. W końcu nie chodzi tu o zwycięstwo, a dobrą zabawę i pokazanie swojej barwnej twórczości.

Kolejny etap naszej podróży po regionie to Ośrodek Spotkania Kultur w Dąbrowie Tarnobrzegskiej

Ośrodek został utworzony w czerwcu 2012 roku w wyremontowanej synagodze chasydzkiej, będącej największą bożnicą tego typu w Polsce. Uratowane od ruiny zabytkowe przestrzenie stały się doskonałym miejscem do przypomnienia o historii



żydowskiej społeczności miasteczka, która w 1910 roku stanowiła około 90 procent mieszkańców.

Celem działalności Ośrodka jest poznawanie kultury i religii żydowskiej, ale także odnajdywanie punktów wspólnych pomiędzy chrześcijaństwem a judaizmem. W dawnej Sali Modłów znajduje się główna ekspozycja opowiadająca o bogatej historii dąbrowskich Żydów, a także przybliżająca podstawowe pojęcia judaizmu. Na ścianach można podziwiać odnowione malowidła przedstawiające cykl zodiakalny i widoki dawnej Jerozolimy.

W podświetlonych gablotach tematycznych poza judaikami wyeksponowano też pamiątki związane z II wojną światową. Są to mundury poszczególnych formacji wojskowych, broń biała, pistolety, karabiny, pociski, szrapnele, łuski oraz dokumenty, medale i odznaczenia, sztandary. Ciekawym zabytkiem są części samolotu Halifax, który rozbił się niedaleko Dąbrowy w 1944 roku, lecąc na pomoc walczącej Warszawie. Znajdują się tu również przedmioty opowiadające o najdawniejszych dziejach regionu, a pochodzące z wykopalisk — brązowe zapinki i pierścienie oraz kości mamuta.

W południowo – wschodniej części Sali Modłów prezentowane jest oryginalne wyposażenie Domu Modlitwy, przeniesione ze szpitalu zmarłego w 1995 roku Samuela Hirsza Rotha, zwanego „ostatnim strażnikiem Tory w Dąbrowie Tarnowskiej”. Na środku znajduje się prostokątna oryginalna bima, na niej rozłożone są różne przedmioty kultu, zarówno synagogalne, jak i domowego, w tym prezentowana na naszym portalu lampka chanukowa. Na drugim piętrze dawnego babińca wyeksponowano z kolei bogaty księgozbiór Samuela Rotha. Jeśli już tam będziemy, warto spojrzeć jeszcze raz na Salę Modłów, tym razem z tarasu widokowego. Z tej wysokości widać też dokładnie ornamenty umieszczone na ścianach tuż przy suficie.

A na koniec naszych zmagania turystycznych ...Góra św. Marcina

Tarnów miał kiedyś swój zamek, z którego teraz niewiele pozostało.

Ruiny zamku położone są na Górze Św. Marcina (384 m n.p.m.), potocznie nazywaną Marcinką. Z góry św. Marcina rozpościera się przepiękny widok. Na północy widać cały Tarnów, a na południu pogórze Ciężkowickie.

Zamek ma bogatą historię właścicielską. Zamek zbudowany przez Spycimira z Melsztyna w latach 1328–1331 miał na celu kontrolę nad szlakiem Kraków – Lwów przechodzącym przez

Tarnów. W czasie najazdu węgierskiego w 1441 roku zamek został zdobyty i zniszczony. Odbudował go kasztelan krakowski Jan Amor Tarnowski (junior) w poł. XV wieku. Hetman wielki koronny Jan Tarnowski przebudował w I-szej połowie XVI w. rodową rezydencję w stylu renesansowym. Były to czasy największej świetności zamku, rodowej siedziby hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego, którego dwór stanowił znaczący ośrodek kultury renesansowej. Zamek niejednokrotnie gościł najwybitniejsze postaci „złotego wieku” w Polsce, a także mieścił w swoich wnętrzach słynną bibliotekę. Od końca XVI w. zamek dostawał się kolejno w ręce najczęściej małoletnich i niezbyt zainteresowanych nim właścicieli. Przechodził kolejno w ręce rodów Ostrojskich, Zasławskich, Zamojskich, a następnie Sanguszków.

Koniec istnienia Zamku Tarnowskiego wiąże się z księciem Januszem Aleksandrem Sanguszką znanego jako lekkoducha i utracjusza. W roku 1747 zezwolił tarnowskim ss. bernardynom na rozbiórkę murów zamku w celu uzyskania materiału na budowę nowego kościoła.

Dwa dni w Tarnowie i okolicach, to zaledwie kilka chwil w Tarnowie. To z pewnością mało by poznać historię „perły polskiego renesansu” zarówno tę bogatą w wydarzenia stymulujące jej rozwój jak i tę mroczną ... być może ciekawszą?

Myszę, że to tyle i aż tyle aby wzbudzić w was apetyt na więcej. Dlatego nie żegnajmy się z Tarnowem tylko powiedzmy mu DO WIDZENIA.

Tarnów, ruiny zamku na górze św. Marcina. Fot. Gabrielakusior



Koncert Karola Mossakowskiego

wrażenia, refleksje, odległe wspomnienia



Bolesław

Belgia

W niedzielę 3-go marca bieżącego roku, w Wielkiej Sali „Henry le Bœuf” Pałacu Sztuki w Brukseli wystąpił Karol Mossakowski, młody polski organista.

Warto przypomnieć, że w tej sali koncertowej o wyjątkowej akustyce, którą zaprojektował architekt Victor Horta, od 1937 roku rozgrywa się finał Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Królowej Elżbiety Belgijskiej.

Koncert ten stanowił kolejne ogniwo nowego cyklu « *Bozar Next Generation* ».

(Dodajmy przy okazji, że « BOZAR » jest od niedawna używanym akronimem słów : *Palais des Beaux Arts Bruxelles*, które w języku niderlandzkim brzmi — *Paleis voor Schone Kunsten Brussel*, a w angielskim — *Centre for Fine Arts Brussels*)

Karol Mossakowski jest wirtuozem wysokiej klasy. Grę jego charakteryzuje muzykalność, udzielające się publiczności skupienie, a w jego specjalności jasne prowadzenie głosów wsparte wyszukaną registracją podkreślającą tak punkty kulminacyjne, jak i sam przebieg prezentowanych dzieł. Ponadto artysta należy do rzadkiej dziś kategorii wykonawców uprawiających organową improwizację.

Na brukselskim koncercie usłyszeliśmy bogaty i zróżnicowany program :

Fantazję i Fugę g-moll BWV 542 J.S. Bacha, *Variations sérieuses op. 54* F. Mendelssohna (w transkrypcji na organy Reitze Smits'a), *Preludium op 28/4* Fr. Chopina (w układzie koncertanta) oraz *Der Tanz in der Dorfschenke (Erste Mephisto-Waltzer) S 514* Fr. Liszta (utwór oparty na wersji orkiestrowej kompozytora).

Pomiędzy utworami Bacha i Mendelssohna, następnie pomiędzy *Wariacjami* Mendelssohna i *Preludium* Chopina, artysta zaprezentował dwie improwizacje — określane przez niego samego jako « *interludia pomiędzy dziełami skomponowanymi* ». K. Mossakowski nawiązuje swymi *interludiami* do tradycji XIX-wiecznych, kiedy

renomowani wirtuozi, posługując się w chwili improwizacji materiałem motywowym wykonanej już kompozycji, tworzyli jak gdyby *pomost* wprowadzający kolejny utwór, jego tonację i wątki. Tego rodzaju improwizacja wydaje się bliska przechodzeniu z tematu na temat, dokonywanemu przez biegłego i wykształconego prelegenta. Ogólnie mówiąc, improwizacje Mossakowskiego wykonane na koncercie nosiły charakter zadumy. Znalezienie szczegółowych słów na ich określenie nie jest bynajmniej łatwym przedsięwzięciem. Śledząc w *interludiach* fragmenty usłyszanej kompozycji we wciąż zmiennej formie, myślałem mimo woli o « *krążącej idei, aluzji, o symbiozie*



wykonawcy z utworem, z instrumentem, z akustyką sali, w przeciągłym echu gasnących wybrzmień ». Tak właśnie odebrałem te niezwykle piękne i ekspresywne improwizacje.

Podchodząc do tej kwestii z obiektywnego punktu widzenia należałoby powiedzieć, że wersje interpretacji danego utworu dokonane przez tego samego wykonawcę w krótkim okresie czasu — np. podczas tournée koncertowego, określające zarazem jego sztukę odtwórczą, będą najczęściej bardzo zbliżone do siebie. Natomiast improwizacja zrodzona z inspiracji — twórczego impulsu chwili pozostanie niepowtarzalna, jednorazowa. Zdolność do tego rodzaju działalności jest zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim.

K. Mossakowski urodził się w 1990 roku. Studiował w Akademii Muzycznej w Poznaniu oraz w Conservatoire National Supérieur de Musique et de Danse w Paryżu. Jest laureatem wielu międzynarodowych konkursów. Zdobyl m.in. I-szą nagrodę na Konkursie Praskiej Wiosny w r. 2013, *Grand Prix & Prix du Public Jean-Louis Florentz d'Angers*, przyznane przez Académie des Beaux-Arts w r. 2015, także *Grand Prix de Chartres* w r. 2016. Podczas sezonu 2014-2015 został zaszczycony tytułem *Young Artist in Residence*, pełniąc funkcję organisty przy Katedrze St Louis w Nowym Orleanie. Od wielu lat prowadzi szeroką działalność koncertową. Obecnie pracuje jako profesor gry organowej i improwizacji w Konserwatorium « Hector Berlioz » w Paryżu, pełniąc zarazem funkcję tytularnego organisty przy Katedrze w Lille.

Słuchając recitalu K. Mossakowskiego, idąc po linii nagłych skojarzeń, cofnąłem się myślą aż po lata moich studiów, kiedy wchodząc w arkana sztuki gry skrzypcowej i literatury wiolinistycznej, starałem się zarazem wyjść ze ścisłego kręgu swojej specjalności, by lepiej poznać inne formy ekspresji muzycznej. Na tej drodze jedną z szans okazał się kontakt z kilkoma pedagogami organistami. Moim

profesorem literatury muzycznej był Bronisław Rutkowski, ówczesny rektor Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, twórca polskiej szkoły organowej, niezwykle wykonawca utworów J.S. Bacha, a w latach swej młodości wychowanek Konserwatoriów — petersburskiego i warszawskiego oraz paryskiej *Schola Cantorum*. Podczas jego wykładów dowiedziałem się o wyż. wspomnianej praktyce improwizacji mającej na celu łączenie kolejnych utworów recitalu. Opowieść prof. Rutkowskiego dotyczyła specjalnie Józefa Hofmanna, jednego z najsłynniejszych pianistów i wykonawców Chopina.

Joachim Grubich, laureat I nagrody Konkursu muzycznego w Genewie (w r. 1962) studiował u prof. Rutkowskiego. Ten znakomity organista należał do ówczesnej « *Next Generation* », rozpoczynającej wielką karierę.

Tadeusz Machl, organista i kompozytor był moim profesorem solfeżu. Miałem okazję usłyszeć jego rozbudowane improwizacje organowe o hierarchicznej strukturze, także — dzięki niemu — poznać jeden z instrumentów, którego był pomysłodawcą.

W tym samym czasie, podczas festiwalu organowego w Krakowie słyszałem grę słynnego francuskiego wirtuoza Jean Guillou. Ostatnim utworem jego recitalu złożonym z arcydzieł literatury organowej miała być improwizacja na zadany temat. Spośród przedstawionych mu anonimowych propozycji, po wnikliwym zapoznaniu się z nimi, wybrał motyw jednej z kompozycji Michała Spisaka, polskiego kompozytora mieszkającego w Paryżu. Improwizacja Maestro Guillou okazała się wprost monumentalna.

W okresie nauki w liceum muzycznym moim profesorem harmonii był Jan Jargoń, również organista. Od czasu do czasu, przerywając lekcję, opowiadał o swoich tournée koncertowych i o konieczności adaptacji do wciąż innych instrumentów, niekiedy bardzo różniących się od siebie. Pewnego dnia oprowadził naszą klasę po « wnętrzu » nowo wybudowanych organów w auli

Akademii. Wyszliśmy na wyższą kondygnację budynku, właściwie na poddasze, gdzie znajduje się mechanizm instrumentu — jego miechy, wiatrownice, dźwignie traktacji i niezliczona ilość rzędów piszczałek tworzących głosy. Po oglądnięciu wnętrza organów powróciliśmy do sali, do stołu gry. Profesor objaśnił nam zasady układu manualów, nożnej klawiatury oraz gałek registrów o niespotykanych nazwach, często reprezentujących mieszaninę języków, jak np. *Pryncypał*, *Nachthorn*, *Bourdon*, *Rohrflaute*, *Vox Angelica*. Poruszył również interesujący temat nowych rozwiązań technicznych dotyczących sprzężeń registrów opartych na przekazie elektronicznym. Grając, pokazywał nam rozmaite możliwości łączenia barw głosów i tworzenia mikstur. Organy ukazały mi się w innym, bardziej wyrazistym świetle. Skojarzyłem je od razu z instrumentacją i samą orkiestrą symfoniczną. Trzeba mi było jednak wielu lat praktyki i licznych wskazówek pochodzących z innych źródeł, by zrozumieć, że organista zespolony z mechanizmem instrumentu, niejako w symbiozie z nim, podobny jest do dyrygenta « grającego » na orkiestrze. W podobny sposób wrażliwy muzyk kierowany zarówno czuciem, jak i rzetelną techniką, przetwarza niby gotowy dźwięk fortepianu lub wydobywa zasoby rezonansu ukryte w instrumentach smyczkowych. Zbyteczną wyda się uwaga, że ta demonstracja — skierowana wówczas do młodego audytorium — okazała się bardziej komunikatywna od najlepszego podręcznika instrumentoznawstwa.

Już po koncercie, pełen wrażeń i wspomnień zbliżyłem się do Karola Mossakowskiego, by mu pogratulować. Przedstawiłem się, dodając zarazem, że znałem osobiście Bronisława Rutkowskiego, Joachima Grubicha i Józefa Serafina, cenionego organistę, jednego z moich kolegów. Uśmiechnął się i w jego wzroku pojawił się blask.

Bruksela, marzec 2019



Gitta
Rutledge

Polska / USA

Pozwól zapomnieć....

trwam...

choć czuję...jakby mnie nie było
zatopiona w krzyku ciszy
oglądam...niegdyś piękne, kolorowe fotografie
straciły urok, wyblakły... nieodwracalnie
zacierając ślad wspomnień, gdy żyłam chwilą

natłok myśli, zmusza do rozrachunku z życiem
nie...to niemożliwe
...chyba się pomyliłam...
powtórnie liczę...

...zadęcza dźwięk telefonu
ten sam numer maniakalnie dzwoni
niemal... od pół wieku...
teraz?...już nie ma mnie...nie ma dla nikogo

nad pogorzeliem feralnego losu
ognista luna młodzieńczych wspomnień
zlituj się...
już nie wydzwaniam

pozwoł zapomnieć...

Poznań - 26. 01. 2019





Wiesława

Siemaszko-Zielińska

Polska

Listopadowe cienie

(frag. książki)



STRESZCZENIE KSIĄŻKI: „Listopadowe cienie”

Główną bohaterką książki jest kobieta, której nieobce są wzloty i upadki, blaski i cienie życia. Doświadczyła wiele przeciwności losu. Ci, którzy odeszli, których kochała pozostawili wspomnienia godne utrwalenia i zapisania w pamięci. Aby odnaleźć swoje miejsce w życiu i zapomnieć o przykrych wspomnieniach bohaterka realizuje się jako poetka i dziennikarka. Każde odejście bliskiej osoby pozostawia ślad w jej sercu, utrwalony też w wierszu. W książce pojawiają się również fragmenty wywiadów, które przeprowadziła na przestrzeni kilku lat. Pisanie pozwala głównie bohaterce odnaleźć się w życiu i uciec od rzeczywistości. Nie zawsze jej przychylniej. W relacjach damsko-męskich próbuje poznać samą siebie i określić swoją drogę. Mężczyzna, z którym się związała nie do końca spełnia jej oczekiwania. Jednak wciąż ma nadzieję, że ich związek przetrwa wszystkie egzystencjalne niepokoje. Ale czy tak jest naprawdę? Zakończenie książki nie daje konkretnej odpowiedzi. Czytelnik odnajdzie ją w sobie.

Tego dnia padało potwornie. A wiatr dosłownie zrywał czapki z głów. Od godziny prawie czekała na męża. Była spięta i zdenerwowana. Czas i narastający niepokój wydłużał się w nieskończoność. Nerwowo spoglądała na zegarek. Obszerna sala w galerii, gdzie skończyła rozmowę z artystą – malarzem powoli pustoszała. A ona stała przy oknie i patrzyła na pustą ulicę.

W pewnej chwili podszedł do niej pewien mężczyzna i spytał:

— Czekasz na kogoś? Od jakiegoś czasu stoi pani przy tym oknie i bacznie się czemuś przygląda. Stało się coś?

— Tak, czekam na męża. Miał przyjechać po mnie.

— Rozumiem. Mogę panią podwieźć. Właśnie też zainteresowała mnie ta wystawa. Obserwowałem panią i to, jak rozmawiała pani z gospodarzem spotkania i jestem ciekaw o co go pani spytała i w ogóle. A właśnie jadę w kierunku Gdańska i panią podwieźć po drodze. Odpowiada to pani? – zapytał grzecznie i rzeczowo.

— Oczywiście. To po drodze. Byłabym niesamowicie wdzięczna – ucieszyła się Beata, odpędzając złe myśli.

— Na mnie szczególne wrażenie zrobiły obrazy koni, utrwalone przez malarza na płótnie, a o co spytała pani artystę?

— W istocie, spytałam go o ten motyw, pojawiający się w jego malarstwie. O to, skąd wynika to jego zamilowanie. Czy z miłości do zwierząt?

— No właśnie. I co odpowiedział?

— Powiedział, że kocha konie od dziecka. Że wychowywał się na wsi. I nawet jeździł konno. I obserwował je. Przyglądał się pracy ich mięśni. Szczególnie w ruchu. *Obrazy koni dają upust mojej artystycznej ekspresji* – powiedział między innymi.

— Z pewnością spytała go też pani o jego warsztat pracy, co jest zrozumiałe.

— Oczywiście, to standardowe pytanie. Powiedział, że w zasadzie działa spontanicznie. Pod wpływem chwili. Tworzy intuicyjnie.

— A, to ciekawe. Często bywam na wernisażach i podziwiam artystów. A jak pani sądzi? Czy nadal aktualne jest stwierdzenie o niezwykle ważnej integrującej roli sztuki?

— No i widzi pan. Z jednego wywiadu wchodzę w drugi – powiedziała Beata i uśmiechnęła się do nieznanego – Jestem przekonana, że sztuka zawsze odgrywała i nadal odgrywa znaczącą rolę w egzystencji człowieka. Choć nie wszyscy są w stanie określić jej granice. To jednak wszyscy w niej funkcjonujemy. Otacza nas przecież muzyka, odgłosy, rytmy i dźwięki. Uczestniczymy w teatrze zdarzeń. Odbieramy i używamy wielu form. Sztuka wychodzi poza życie człowieka. I nic tak nie integruje jak właśnie ona.

— Właśnie. Krótko mówiąc – istnieje uniwersalna płaszczyzna dialogu i porozumienia.

— Tak właśnie jest. Zagadaliśmy się trochę. A ja tu wysiadę koło Teatru Wybrzeże. Mam już niedaleko do domu. Dziękuję za podwiezienie. I do zobaczenia na kolejnej wystawie.

— Do zobaczenia

W domu Beata znów próbowała się dodzwonić do Darka. Bezskutecznie. Po raz pierwszy nie odbierał telefonu od niej. Nie wiedziała, co się dzieje i martwiła się. Aby zająć czymś natrętne myśli włączyła radio.

Dzisiaj w godzinach popołudniowych pod Bronowem doszło tragicznego wypadku. Mężczyzna prawdopodobnie jechał z nadmierną prędkością i wpadł w poślizg. Ze wstępnych ustaleń wynika...

Nie słuchała dalej. Jakies złe przeczucie nie opuszczało jej. Serce waliło tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć z jej piersi. Znów włączyła radio.

Rannego mężczyznę w ciężkim stanie przewieziono do szpitala na ul. Polnej w Gdańsku.

Co się dzieje? Przecież to nie może być Darek. Dlaczego właśnie on. Jej mąż – zapytywała samą siebie.

Więc pojechała do tego szpitala. Dla świętego spokoju. Bo przeczucie rzadko ją zawodziło...¹

Bez trudu znalazła szpital. Po rozmowie z lekarzem weszła na salę. I naraz przy oknie zobaczyła młodą dziewczynę. Coś w niej drgnęło. Poznała ją. To była ta sama dziewczyna. Którą widywała z okien swojego domu. Kiedy spacerowała z psem. Czarnym owczarkiem niemieckim. Teraz stała tu. Dziwnie skulona. Drżała i chyba płakała. Beata nie ruszał się z miejsca. Stała niedaleko drzwi, jakby w cieniu. Już chciała zbliżyć się do męża. Już postawiła krok w jego stronę. Gdy nagle ta dziewczyna podeszła do leżącego na łóżku Darka. I ledwo słyszalnym szeptem powiedziała:

— Dlaczego mnie nie szukałeś? Tato.





Halina

Godecka

Polska

500 lat tartouffoli na stole

Jak myślę warzywa, to natychmiast mam skojarzenie — królowa Bona, włoszczyzna. No tak, ale włoszczyzna stała się za królewskim poręczeniem i nakazem modna, a nawet wręcz snobistyczna.

— Skoro królowa je włoszczyznę, to czemu my mamy być gorsi, mówili mieszkańcy kraju nad Wisłą? Włoszczyzna miała więc dość łatwą drogę na nasze stoły. Co innego ziemniak.

Inkowie nosili je przy sobie, by zapobiegać reumatyzmowi, a w 1995 roku wyhodowano je na orbitującym wokół Ziemi statku Columbia. Jemy go na surowo, w zupach, gotowany jako nieodzowny dodatek do drugich dań obiadowych, w formie babki i tak można wyliczać dosłownie bez końca, bo każdy z nas ma swój przepis na pyszne ziemniaki. Według statystyk na wschodzie kraju i w Warszawie jada się najwięcej białych ziemniaków. Zachodnia, południowa i północna część Polski gustuje podobno w żółtych.

Wśród roślin uprawnych, historia ziemniaka jest jedną z najbarwniejszych, a zarazem najbardziej trudnych. Obecnie zupełnie sobie bez nich nie wyobrażamy obiadu, a znaczenie ziemniaka jako materiału przetwórczego utrzymuje się

na stałym, wysokim poziomie zainteresowania również przemysłu.

Ziemniak, to dzisiaj jedna z najważniejszych roślin uprawnych i zajmuje równorzędne miejsce ze zbożami stanowiąc podstawę pożywienia we wszystkich krajach w Europie, ale jeszcze blisko dwa wieki temu był praktycznie nieznan, albo słuszniej byłoby napisać — wzgardzany.

Ojczyzną ziemniaków są góry Peru (stąd zwane w Wielkopolsce „perkami”) i Chile gdzie na długo przed przybyciem Europejczyków były uprawiane przez Indian pod nazwą „papos”. Do „starego świata” przyplęły dwiema drogami. Jedna z nich prowadziła przez Hiszpanię. Wtedy otrzymaliśmy ziemniaki o fioletowych kwiatach i różowych bulwach. Do Włoch miały się dostać po raz pierwszy w **1519 roku**, a więc równo 500 lat temu. Zostały przywiezione przez niejakiego Pigafettę. Na pewno wiemy, że hodował je Vallambrosa, który napisał o tym w swojej książce pt. „Uprawa roślin w Toskanii” wydanej w 1623. Autor podaje tam nazwę dla ziemniaka „**tartouffoli**” skąd przypuszczalnie wzięło się pochodzenie słowa „kartofel”.

Z tych ziemniaków hodowanych z dużą rezerwą i bardziej dla ciekawości w roku 1587 nuncjusz papieski ofiarował jako osobliwość kilka bulw wyhodowanych w ogrodach papieskich lekarzowi niemieckiemu Lorentzowi Schultzowi, który je zasadził w swoim ogrodzie pod Wrocławiem. Stąd zaczęły przenikać na teren Polski, ale bez jakichś nadzwyczajnych zachwyty jakimi cieszyła się włoszczyzna. Ten sam nuncjusz ofiarował również kilka bulw Filipowi de

Syvry z Belgii. Od niego z kolei tę nową roślinę dostał pewien botanik Karol d’Ec-luse, znany również jako Clusius, który ją zasadził w ogrodzie cesarza Maksymiliana w Wiedniu w 1588. Były to pierwsze kartofle w Niemczech, Austrii skąd przestały do Francji.

Druga droga ziemniaków prowadziła przez Anglię. Stąd przeszły, albo raczej przepłynęły na kontynent ziemniaki w bulwach białych i o kwiatach białych lub lekko fioletowych. Pierwszy miał je przywieźć do Anglii około 1565 roku handlarz niewolników John Hawkins z Santa Fe de Bogota do Irlandii, ale nie znalazły w niej wtedy uznania. W efekcie wkrótce wyginęły zupełnie. Kolejny raz przywiózł je również do Anglii pod nazwą „potatoes” żeglarz Franciszek Drake z Wirginii. Najpierw jednak je zaaklimatyzował w Anglii a następnie zasadził w swoim ogrodzie w Yonghal w Irlandii, ale i tak pomimo starań wkrótce uległy zapomnieniu. Większe szczęście miały ziemniaki sprowadzone przez Waltera Raleigh z początkiem XVIIw. Waltera Raleigh organizował z rozkazu królowej Elżbiety I, kolonie angielskie na terenie Ameryki Południowej i wtedy to, spotkał się po raz pierwszy z ziemniakami, znanymi tam pod nazwą „openhauk”, jak o tym wspomniał w raporcie dla królowej z 27.VI.1586.

Od początku XVII wieku zaczęła się pojawiać ta zamorska potrawa na dworach królewskich i książęcych. W 1616 podają je pierwszy raz na stół królowej Anny Stuart. Cena ziemniaków wtedy, jak to się z zapisków samej królowej



Święta Ziemniaka w Giżycku. Fot. arch.

dowiadujemy, wynosiła 2 szylingi za funt. We Francji do swojej kuchni wprowadził Ludwik XIII jako wielką osobliwość. Gorącym zwolennikiem tej nowej rośliny, która dzisiaj zaliczamy do warzyw, był następnie Ludwik XIV. Ten król dostrzegając zalety ziemniaka i rozumiejąc jego potencjalne znaczenie jako pokarmu, wszelkimi środkami starał się, ją upowszechnić poza swój dwór na cały kraj. Gdy nie pomagały nakazy, próbował zakazów. Kazał sadzić ziemniaki, dobrze je ogrodzić i pilnować żołnierzom sądząc, że „owoc zakazany” bardziej zacieka i prędzej się po Francji rozejdzie. Podobno chcąc ziemniaki uczynić modną potrawą, król nosił do ubrania przypięty kwiat ziemniaka. Nie tylko we Francji, ale i w innych krajach Europy rządzący i ich rządy starały się usilnie rozpowszechnić ziemniaki jako potrawę. Zmniejszono podatki lub całkiem od nich zwalniano te ziemie, których właściciele obsadzali ziemniakami.

Mimo takich wysiłków i ogromnej, jakbyśmy to dzisiaj nazwali promocji, ziemniaki nadal budziły u odbiorców odrazę. Dopiero w 1720 roku zaczęto je szerzej uprawiać w Saksonii, następnie w Alzacji i Palatynacie. Najpierw jednak jako pokarm dla bydła, dopiero powoli, powoli jako pokarm dla ludzi. W Toskanii i Lotaryngii stało się to dopiero koło 1760.

Do Polski pierwsze ziemniaki sprowadził Schlichting z Bukowca. Był znanym lekarzem i posadził ziemniaki w swoim ogrodzie koło Nowego Sącza jako osobliwość i rzadką roślinę. Nie znał wówczas nawet jej właściwego sposobu użytkowania. Przyjmując u siebie zagranicznych gości podał je im na stół kwiaty i ich owoce (ziemniaki). Wywołując u swoich gości tym zrozumiałą wesołość. Dopiero gdy goście pouczyli go, że do jedzenia nadają się „korzenie”, a nie kwiaty zaczął je właściwie używać. Jednak upowszechnienie ziemniaków w Polsce nie jemu zawdzięczamy, gdyż wtedy jako sprowadzone

przez heretyka zostały wyklęte przez księży katolickich.

Ziemniak uzyskał dopiero swoją szansę kiedy przywozi je Jan III Sobieski z wyprawy wiedeńskiej w 1683. Wtedy i u nas w atmosferze euforii zwycięstwa nad wojskami tureckimi zaczęto podawać je, ale tylko na dworze królewskim i na dworach wielkich panów. W następnych latach w Warszawie uprawia je lekarz Augusta II. Ludność zaczęła się uczyć używać ziemniaki dopiero od osadników saskich, których August III sprowadził do Polski i osadził w dominiach królewskich. Upowszechnienie ich nadal mimo to szło opornie, gdyż Polacy brzydzili się ziemniakami i uważali je za szkodliwe dla zdrowia. Jeszcze w 1783 Xsawery Ładowski w swojej „Historii Naturalnej Królestwa Polskiego” wspomina o ziemniakach jako potrawie, którą „nie każdy żołądek znieść potrafi”. U tego samego autora można znaleźć informację, że „kartofel, albo jabłko ziemne, mnoży krew i sposobność do sprawy małżeńskiej

daje”. Taki zapis dał niewątpliwie ziemniakowi konkretną nominację i rekomendację ogólnospożywcze.

Z końcem XVIII wieku we wszystkich krajach europejskich rządy starają się wszelkimi sposobami wprowadzić i upowszechnić uprawę ziemniaka. Jednym z największych propagatorów tej nowej rośliny był sławny chemik francuski Permenier, żyjący w czasach rewolucji francuskiej. On przez całe swoje życie propagował i zachęcał ludzi do ziemniaków. Uprawiał i hodował ich nowe odmiany. Nawet sam żywił się podobno prawie wyłącznie nimi i wymyślił kilkaset przepisów na ich przyrządzanie, ale ziemniak nadal nie był faworytem na stole. Gdy na Zgromadzeniu Ludowym w Paryżu chciano temu chemikowi przyznać zaszczytną rządową posadę, ktoś krzyknął: „Nie dawajcie mu jej, bo nas ziemniakami potruje”. No cóż, ciekawe jakby dzisiaj wyglądał świat bez frytek?

W Niemczech minister von Schlabren zmuszał ludność do uprawy ziemniaków przy pomocy wojska. Podobnie w Rosji Katarzyna Wielka nakazywała uprawę, wywołując swoimi rozkazami wielkie bunt chłopstwa.

Dopiero straszny głód, jaki zapanował w całej Europie wyniszczonej przez rewolucję i w czasie blokady naszego kontynentu w okresie wojen napoleońskich zmusił ludność do zwrócenia uwagi na ziemniaki jako potrawy. Od tego czasu stały się one powszechnym produktem żywieniowym w Europie. Minęły kolejne dwa wieki i dzisiaj spotykamy się z takimi wypowiedziami.

— Uwielbiam ziemniaki — śmieje się pani Katarzyna z Tarnowskich Gór. W czasie „Dnia kartofla” w Górnośląskim Parku Etnograficznym. — Smakoszy nie brakowało, ale przyjechali nie tylko jeść, ale też zdobywać wiedzę o ziemniaku. Dzieci były zachwycone, smażeniem placków ziemniaczanych i wykopkami — mówi pani Katarzyna, która chorzowski skansen odwiedza zawsze raz w roku, właśnie z okazji „Dnia Kartofla” - Można tu smacznie zjeść, napić się piwa, zobaczyć występy artystyczne i zrobić zakupy, bo stoisk w tym dniu nie brakuje w skansenie. Są miody, nalewki, rękodzieło i pamiątkowe przedmioty. I ten

najważniejszy produkt — kartofel na przynajmniej 10 sposobów- mówiła.

— Co roku o historii, odmianach i sposobie uprawy ziemniaka opowiadają przedstawiciele Śląskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego. Jesteśmy tu za każdym razem i zawsze ludzie są ciekawi ziemniaków, pytają do jakich potraw jaki ziemniak najlepiej pasuje, który do sałatek, a który na placki, itd. — mówi, przedstawicielska śląskiego oddziału ODR.

Tyle wieków musiał ziemniak walczyć o swoją niezbywalną obecnie pozycję w żywieniu, ale doczekał się Narodowego Dnia Ziemniaka, który w USA przypada na 27

października, a u nas licznych festynów ziemniaczanych a nawet pomnika w Biesiekierzu.

A ktoś jeszcze pamięta prażynki z ziemniaka jaki to był szal??

Na podstawie:

Materiałów: Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin PIB w Radzikowie. Zakład nasennictwa i ochrony ziemniaka.

Ziemniak Polski nr 2. Zeszyty Stowarzyszenia Ziemniaka

Magdalena Kasprzyk — Chevriaux: Polska historia ziemniaka. Culture.pl 2017

Jędrzej Kitowicz: „Opis obyczajów za panowania Augusta III” Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej. Uniwersytet Gdański.

Pomnik Ziemniaka w Biesiekierzu. Fot. arch.



PSYCHOTERAPIA

opowiadanie folklorystyczne



Bolesław Bieniasz

Belgia

Nie pomyślcie tylko, że lubuję się zwłaszcza w krytykowaniu. O ile poruszę jakąkolwiek kwestię, szukam odwrotnej strony medalu albo płaszczyzny porozumienia, której innym nie udaje się znaleźć.

Przejdźmy do historii. W jakiś czas po upadku Wieży Babel zapanował język aramejski, następnie grecki, łaciński i lawina innych. Esperanto jak dotąd nie weszło na rynki. Po stuleciach walki o pierśnięstwo, doszło do wszechwładzy angielskiej mowy.

Podobno *Simple English* zupełnie nie wystarcza, czemu zdaje się przeczyć codzienne życie. Osoby sprytnie posługują się zazwyczaj kilkoma słowami. Resztę dopowiadają na migi, co im zastępuje dobór wyrazów i elokwencji, a w angielszczyźnie trudno osiągalną znajomość *Full English*. W ten to sposób, żonglując niekiedy jednym słowem, kupisz na pchlim targu « coś za niewiele » (właściwie « za nic »), np. sfalszowany obraz tzw. « z epoki ». Ma się rozumieć, jedynie przypominający « styl danych czasów ». W rzeczywistości namalował go zręczny imitator dziesiątki lat później, zwykle na zamówienie handlarza-pośrednika. To samo dotyczy innych obrazów zwanych « *alla maniera* », czyli « na sposób », co wprowadza niezorientowanego, ściśle mówiąc, zdezorientowanego nabywcę w oczywisty błąd. Prawdopodobnie tego rodzaju obrazy wykonano dzień lub dwa wcześniej, po czym wysuszono je w zakładzie piekarniczym obok stygnących chlebów.

Kiedy jest już mowa o ciepłym pieczywie, odskoczmy na moment od spraw handlowych i historii sztuki. Pewien znajomy, człowiek dość porywczy, mieszkał nad piekarnią. Latem dostawał dosłownie szał, natomiast zimą zupełnie nie korzystał z ogrzewania — ściśle mówiąc — elektrycznego, gdyż właśnie takie figurowało w kontrakcie wynajmu. Spał nawet przy otwartym oknie, jak podczas upałów. Wiadomo, że nic nie pozostaje niezauważone. Nie trudno też o donos. Nie zaprzatając sobie głowy jakimkolwiek dochodzeniem, posądzono go o kradzież prądu z lampy ulicznej przytwierdzonej do fasady. W trakcie wizji lokalnej doświadczony kontroler połapał się na czas i nawet udało mu się nie zlecieć ze schodów.

Powróćmy jednak do chwilowo porzuconego motywu. Pchli targ wiedzie nas ku horyzontom marzeń i pożądań. Szolem Alejchem, pisarz wiekiewi miary, w autobiografii — swym ostatnim

dziele — porównał ocenę życia do « powrotu z jarmarku », zatem do refleksji po dokonaniu transakcji. Niczym spiralą dobrego korkociągu, wkręcił się w warstwy bogatych doświadczeń. Nigdy nie czytałem nic równie trafnego, nic równie wzruszającego i pogodnego. Prawdziwy mistrz.

Nie muszę więc podkreślać, że uwielbiam atmosferę targu, choć raz mnie tam okradziono, raz mi niedoważono, a raz sparzono kawą i przy tej okazji, przepraszam za słowo, opyskowano. Autora tego niecnego postępu spotkała natychmiast zasłużona kara. Podczas sprzeczki ze mną jakiś nicpoń gwizdnął mu ze straganu bundz i dwa oscypki, a inny, w najbezcenniejszy sposób na świecie, wydoił mu kożę uwiązaną obok. Ten drugi, podsuwając skopek, odburknął handlarce siedzącej naprzeciw (nawnie mieszającej się w nieswoje sprawy), że cierpi na płuca, a zdaniem znachora powinien pić świeże i pełnotłuste mleko. Codziennie, bez wyjątku. Nie opiszę końca tej drastycznej sceny. W zamian proponuję wręcz inną historię i to od razu — tuż poniżej.

Niekiedy dochodzi do niekorzystnych zdarzeń. Właśnie niedawno, w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności, wszystko mi się wydało pozbawione sensu. Na domiar złego, mój chwilowy, minorowy nastrój dołał oliwy do ognia. Co się ze mną dzieje, pomyślałem sobie? W jakim znajduję się punkcie? Chyba, tu się zawahałem, w żadnym konkretnym. Gdzie i jak mieszkam, i na co — dzień za dniem — patrzę bez przerwy? Wiadomo, że stan prowizoryczny trwa niekiedy długo. Innych — wybrańców losu, otacza komfort i niekiedy zbytek, a ja żyję pustką. I w tym momencie dokonałem nader ważnego odkrycia. Lubię rysunki, sceny rodzajowe, widoki niecodzienne i nieopatrzone. Postanowiłem więc sporządzić kolekcję rycin, co — będąc niezbitym dowodem dobrego gustu — dostarczy mi niewątpliwie wielu niezatartych wrażeń. Mówi się, że jedna linia w rysunku może zdeprimować, a inna — na co liczyłem — rozświekli sobą ciężące godziny.

Chadzałem do sklepów ze starociami, z książkami z drugiej, trzeciej, nawet z czwartej ręki. Na pchlim targu dokonałem najlepszych zakupów. Nauczyłem się oceniać niemal błyskawicznie, udawać ignoranta, schlebiać, przytakiwać, zarazem targować się sprawnie.

Tyle przyjemności naraz, a na dodatek — na wolnym powietrzu. Pewnego dnia, podczas małego tournée, nabyłem w Amsterdamie dwa wspaniałe sztychy. Moi koledzy, może zbyt młodzi, pchani owczym pędem, snuli się po knajpach, na byle rogu zajadali tłuste matjasy, gapiąc się na krążących, obdartych dealerów. Także na dziewczęta — przedwcześnie zwiędnięte — podpierające mury. Może je podierały całkiem odruchowo, gdyż w Amsterdamie, Wenecji Północy niejedyn dom chylił się tuż-tuż nad kanałem.

Zabrałem się raźnie do oprawy sztychów skupując ramy. Raz sztychy do ramek, raz ramy do sztychów. Najczęściej z mahoni. Inne — dębowe lub z jasnego drewna — zamawiałem u stolarzy według swej koncepcji i ścisłych wymiarów. Ustalałem proporcje, wypukłość, odcienie, dobieierałem starannie każde *passé-partout*. Także szkło na szyby — stare, szlifowane, pochodzące z witryn splajtowanych sklepów albo dzisiejsze — cienkie i gładkie, antyodblaskowe. Pracowałem latami — w chwilach wolnych od zajęć i licznych obowiązków. Zręczność oprawy zbliża nas do sztuki osadzania kamieni w koliach i sygnetach. I tak, myśląc o brylantach, rubinach, szafirach, niepostrzeżenie przybyliśmy do miasta Antwerpii, gdzie warto oglądnąć obrazy Rubensa. Holenderskie ryby kupimy w markecie.

Zwiedzałem muzea, prywatne kolekcje, by poznać koncepcję perspektywy ram — raz wklęsłych, to znowu — jakby dla urozmaicenia — zupełnie wypukłych. Im więcej pracowałem, tym bardziej doceniałem sukcesy fachowców. Patrząc z ekonomicznego punktu widzenia, ceny miedziorytów wydają się przystępne. Dlatego też nigdy nie brakło mi pieniędzy. Jedynie miejsca na ścianach.

Kiedy już nabrałem większego rozpędu, zmieniłem kierunek. Nagła fascynacja pchnęła mnie w stronę starych fotografii, które wypełniają te same stragany, sklepy ze starzyzną i antykwaryaty. Znowu dokonałem całej serii odkryć, poniekąd nowych. Dwa z nich są bezprzecnie niezmiernej wagi :

— 1° w porównaniu do zdjęć nowych, dawna fotografia odznacza się nieporównywalnie wyższą jakością, choć któregoś popołudnia usłyszałem w salonie fryzjerskim zupełnie odmienną opinię. By uniknąć stresu, nie wdąłem się w dyskusję — zresztą — prowadzoną na niskim poziomie.

— 2° fotogramy minionych epok, pozornie anonimowe, dotyczą jednak konkretnych osób, a samo słowo « *fotogram* » tchnie już kulminacją.

Na tym miejscu czuję się zmuszony do wprowadzenia niczym niezamierzonej dygresji. Kiedy w dzieciństwie odkrywałem odległy, a porywający mnie świat : puszcze podzwrotnikowe, piaszczyste pustynie i inne cuda Matki Natury, dowiedziałem się o tajemniczej mgłę zwanej *smog*, mgłę z City of London, splecionej z Tamizą. Później, zwiedzając wielkie metropolie, widywałem krążące opary, jakby flotyllę latających dywanów. Aglomeracje są terenem dymu i dusznych wyziewów, które wchodzą do domów poprzez pory cegieł i nieszczelne okna. Raz na czas przegania je siła huraganu, oczyszczając miasto w ciągu kilku godzin. Pewnej zimy, nagły po-

wiew rześkiego powietrza wymiół mi z głowy gnieźdzące się myśli. Poczulem się inny. W ten sam sposób wspomniana fascynacja starą fotografią dokonała we mnie czegoś podobnego. Jeżeli — założmy — ktoś mi niedowierza, to ten przykry brak prostej ufności pozostanie jego osobistą sprawą. Wiele na tym straci. Niech jednak spróbuje. Po kilku latach doświadczeń poczuje się jak nowo narodzony człowiek.

Jakkolwiek fotografie łatwo dostępne dotyczą bezimiennych indywiduów, opatrzone są często nazwą miejscowości, adresem zakładu, niekiedy nawet nazwiskiem fotografa — tego tajemnego, wrażliwego twórcy. Nie znając tożsamości osoby ze zdjęcia, często ją można odgadnąć lub chociaż się starać. Niebawem, jak bańka mydlana, pryśnie jej pozorna anonimowość, ukazując nagle rys charakteru — skrytość lub otwartość, także gest chwili — statyczny, względnie, niewymuszony, nie mówiąc już o guście widocznym w ubiorze modelu. Wnikając coraz głębiej, wyczytamy niejedno choćby z linii ust, z kształtu nosa, czoła, nawet brwi

i powiek. Szukamy podobieństwa z rysami przyjaciół, władców, mężów stanu, zdobiących — czy to znaczki pocztowe, czy też awersy monet. Przenicowana w ten sposób osoba nie jest już nam obca. Przeciwnie. Zaczyna być bliska, choć wciąż pozostaje anonimowa. Wiele odkryliśmy. Rysy nie kłamią, nawet gdy je przysłania cień nakrycia głowy lub dym papierosa.

Nie zapominając o estetyce, powróćmy na moment do starożytności. Co wiemy o królu Salomonie, najmądrzejszym z ludzi ? Znamy jego imię, natchnione wersety i triumfy życia. Twarzy — niestety nie. Ile z a w d z i ę c z a m y zatem fotografii !

Na koniec, po tylu kwestiach bogatych w niuanse, dołączmy jedno uzupełniające pytanie. Którędy przebiega nieuchwytna granica pomiędzy osobistym, skromnym doświadczeniem, a stałym powtarzaniem cudzych opinii — jasnych lub mniej, a w zadziwiający sposób asymilowanych ?





Bożena
Sroka

Polska

Spacerkiem po Nikiszu

Do Nikiszowca, zabytkowej dzielnicy Katowic lub jak kto woli „na Nikisz” pojechałam z koleżanką autobusem odjeżdżającym z katowickiego dworca. No, jedzie się dość długo bo jakieś 45 minut a może i krócej z centrum Katowic.

Ale za to ta dłuższa droga jest bardzo interesująca, bo ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam dzielnicę, jak się okazało starszą od Nikiszowca i również bardzo zabytkową czyli Giszowiec. Oprócz nowej „blokowej” architektury Giszowiec określa zabudowa, którą tworzą dwurodzinne, parterowe domy

powstawały były na zewnątrz), które chyba jakimś cudem ocalały i naprawdę błyszczą uratowane wśród wieżowców. Jak się później dowiedziałam Nikiszowiec powstał ponieważ Giszowiec zaczął zwyczajnie „pękać w szwach”.

Dzień był piękny, słoneczny i dzięki temu nasz nastrój był podobny.

Stałam nareszcie na jednej z ulic Nikisza, no i szczeka mi opadła! Stałam i przez długą chwilę nie mogłam przestać się uśmiechać.

Znalazłam się innym świecie. W innym wymiarze czasowym! Uwielbiam naturalną cegłę a tutaj wszystko jest ceglane! Trzy piętrowe budynki tworzące czworoboki, do tego czerwone ramy okienne i parapety ozdobione kwiatami. Czas zrobił swoje i cegła zmieniła swój kolor ale ... jest pięknie pokryta pyłem czasu. Idąc tak tymi ulicami, cały czas z uśmiechem, nie mogłam nie zajrzeć na to typowe dla tego osiedla podwórko czy też wewnętrzny dziedziniec. No i oczami wyobraźni zobaczyłam jak dawno, dawno temu (ponad sto lat), kobiety siedząc na ławkach przed domami opowiadały sobie o życiu, nie spuszczając z oczu swoich pociech, usłyszałam odgłosy dochodzące z chlewików, które były tam obowiązkowe tak jak i zewnętrzne komórki. Wtedy życie dzielnicy całkowicie podporządkowane było kopalni. To ona dawała pracę całym

rodzinom, żywiła i dyktowała „styl” życia.

Zobaczyłam „starzyków” na tych ławkach przed domem, palących fajki, politykujących i czekających na powrót synów z „szychty” i przypomniał mi się film Kazimierza Kutza „Perła w koronie”.

Teraz podwórka porośnięte są piękną zielenią, ławki też są więc nadal pewnie można tam usiąść i pogadać a może wspominać? ...

Dotarłam na tamtejszy rynek. Pierwsze co rzuca się w oczy to mozaika na fasadzie budynku starej gospody, przedstawiająca róże, to jakby „logo” Nikiszowca – jeśli gdzieś pojawia

fot. B. Sroka



fot. B. Sroka



się ta różana mozaika – wiadomo, że to Nikisz. Uwagę przykuwa również kościół Św. Anny. To spora budowla, wyższa niż trójkondygnacja, tradycyjna zabudowa osiedla.

Moja wyobraźnia uruchomiła się jeszcze bardziej gdy odwiedziłam Muzeum Historii Katowic. Dlaczego? Bo oto znalazłam się ... wielkiej pralni i wielkim..maglu. Ale tam się musiało dzieć na początku XX wieku. Aż strach pomyśleć jakie sprawy były tam „maglowane”... Magiel to taka żywa ówczesna gazeta. Na tym samym piętrze muzeum można zobaczyć jak wyglądało tradycyjne śląskie mieszkanie ... oraz przepiękną wystawę haftowanych makatek, które obowiązkowo wieszano na ścianach w śląskich kuchniach. Makatki zawsze miały wyhaftowaną jakąś sentencję. Niektóre ekspozyty można podziwiać już tylko w tym Muzeum lub odnaleźć na targach staroci. To prawdziwe perełki.

W Muzeum są trzy stałe ekspozycje. Polecam, zwiedzanie nie trwa długo.

Kilkanaście metrów dalej wypiliśmy pyszną kawę i zjadliśmy wyśmienite ciasto w klimatycznej (nazwałam ją „białą”) kawiarence. We wnętrzu dominują – i dobrze – białe lady, do konstrukcji których użyto starych kredensów („byfyjów”), teraz oczywiście po liftingu, pięknie wyglądają.

Nazwa kawiarni mówi sama za siebie – „Cafe Byfyj”.

Niedaleko jest „Śląska Prohibicja” restauracja przepięknie odnowiona spora przestrzeń, smakowicie karmią i do tego można posłuchać muzyki, która nie przeszkadza w rozmowie. Jest super tłem każdego spotkania.

Ujęła mnie cisza i spokój Nikiszowca, przyzwyczajona do głośniejszych dźwięków zza okien zdziwiłam się że, mimo wczesnopopołudniowej pory ruch tutaj niewielki, oczywiście poza oglądaczami takimi jak moja koleżanka i ja. Cudownie się tam czułam.

Ale czas wracać do mojej ukochanej dzielnicy – Koszutki, albo na Koszutkę, jak kto woli.



G i t t a

Rutledge

Polska / USA

Historia lubi się powtarzać

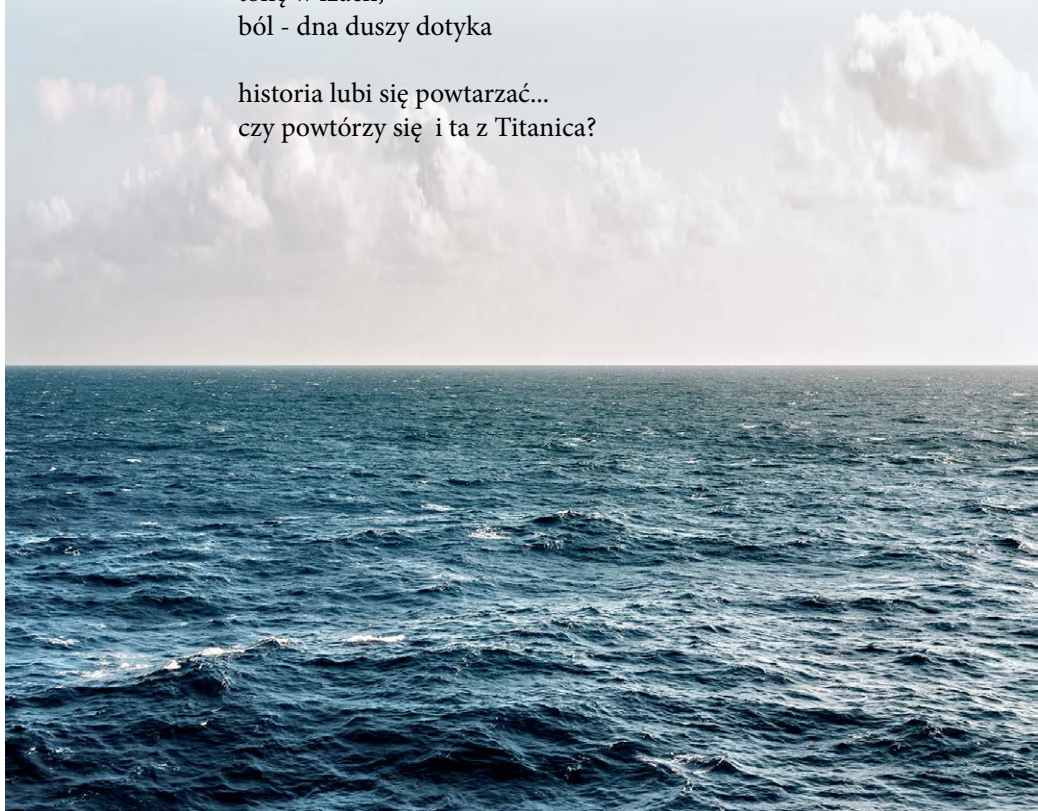
pęka... ostatnie ogniwo...
doświadczeni...mówią
żyj tu i teraz
...żyj chwilą

zbuntowało się serce
brakuje łez...
oddycham z wielkim trudem
jak ryba wyrzucona na brzeg

dryfuję bez określonego celu...
życie...
nigdy nie pieściło i nie pieści
okrutnie rani,
dokuczają coraz boleśniej

zmęczone serce, bije arytmicznie
tonę w łzach,
ból - dna duszy dotyka

historia lubi się powtarzać...
czy powtórzy się i ta z Titanica?





Stefan
Godecki

Niemcy



Jeżeli wiesz, gdzie to jest — napisz do nas!



Bolesław
Bieniasz

Belgia

M A E S T R O
JERZY GERT
1908—1968
wspomnienie o artyście

W pejzażu polskiego życia muzycznego XX w. kilkudziesięcioletnia kariera Jerzego Gerta — dyrygenta, kompozytora i organizatora, odznacza się rzadko spotykaną różnorodnością. Jego działalność artystyczna — podobnie jak i sama droga życiowa — warte są przypomnienia.

Jerzy Gert (właściwie Józef Gärtner lub Gertner), urodził się 31 marca 1908 r. w Tarnowie. Pochodził z rodziny żydowskiej. Był synem Henryka (Stefana) i Pauliny. Już od najmłodszych lat wykazując wielkie zdolności muzyczne rozpoczął naukę gry na skrzypcach i fortepianie w swym rodzinnym mieście.

Na przełomie XIX i XX w. Tarnów szczylił się bujnym życiem kulturalnym, szczególnie w dziedzinie muzycznej. Działał tu Salo (Salomon) Bau, profesor gry skrzypcowej studiujący niegdyś u Hellmesbergera i Jozefa Joachima. Uczniem Baua zostanie słynny pedagog prof. Zenon Feliński, również tarnowianin, starszy kolega i przyjaciel Jerzego Gerta. Teatr miasta Tarnowa angażował znanych aktorów występujących na scenach Lwowa, Krakowa, Warszawy oraz innych miast kraju. Na jednym z koncertów zorganizowanych w sali teatru oklaskiwano samego Pablo Sarasate'go, jednego z najwybitniejszych wiruozów epoki. W Tarnowie urodził się również Roman Brandstaetter, poeta i tłumacz Psalmów.

Pisząc o środowisku Tarnowa, szukając zarazem związku z osobą Jerzego Gerta przypomnijmy sukcesy kilku muzyków, uczniów prof. Z. Felińskiego. Fryderyk Sadowski, tarnowianin, utalentowany skrzypek, pracował przez długie lata jako koncertmistrz Orkiestry Narodowej w Warszawie,

następnie w USA w St. Louis ; Edmund Sieja i Mieczysław Małecki byli koncertmistrzami Orkiestry Polskiego Radia w Krakowie prowadzonej przez Jerzego Gerta ; Henryk Jarzyński, członek tejże samej orkiestry został laureatem I-go Konkursu im. George Enescu w Bukareszcie.

Powróćmy do edukacji muzycznej Jerzego Gerta. W wieku szesnastu lat udaje się do Wiednia w celu doskonalenia swych umiejętności. Kształci się w Neues Wiener Konservatorium, następnie w Akademie für Musik und darstellende Kunst, gdzie zgłębia arkaną dyrygentury — swej głównej specjalizacji. Sztuki kompozycji uczy się u wybitnych twórców tej miary co Hanns Eisler i Alban Berg, przedmiotów teoretycznych u Josepha Pollnauera. Korzysta również z porad Arnolda Schönberga, największej ówczesnej sławy Wiednia.

W latach studiów zainteresowania J. Gerta dotyczyły muzyki modernistycznej, ściśle mówiąc tzw. « konstruktywizmu » — dyscypliny złożonych form dźwiękowych, związanych z nową estetyką sztuki. Powróć do tego interesującego tematu pisząc o latach dojrzałości artysty. Równoległe do spekulatywnego kierunku kompozycji fascynuje się ekspresją tzw. *drugiego nurtu*. W okresie międzywojennym należy do grupy prekursorów polskiego jazzu. W 1933 r. obejmuje stanowisko kierownika muzycznego wytwórni płyt gamofonowych « Odeon » w Warszawie, często dyrygując orkiestrą tej wytwórni. Patronuje popularnemu wówczas jazzowemu zespołowi « Szał ».

W latach 1939-1941 stoi na czele Orkiestry Filharmonicznej we Lwowie. Tragiczne czasy II Wojny Światowej nie oszczędziły naszego artysty. Aresztowany w 1943 r. zostaje więźniem obozów niemieckich w Płaszowie, Mauthausen i Ebensee. Ciężkie przeżycia obozowe nadszarpiły jego zdrowiem, stając się przyczyną choroby serca.

Po zakończeniu II wojny światowej następuje okres odrodzenia życia



muzycznego w Polsce. W roku 1946 powierzono Jerzemu Gertowi dyrekcję orkiestry objazdowej, służącej również potrzebom filmu. Jest to pierwszy krok na drodze jego kariery jako dyrygenta orkiestr symfonicznych. Niestety, po krótkim okresie istnienia zespół zostaje rozwiązany z braku subwencji. Następny krok okaże się decydujący. W 1947 roku artysta organizuje Krakowską Orkiestrę i Chór Polskiego Radia, sprawując funkcję dyrektora i dyrygenta. Z czasem orkiestra ta stanie się dużym zespołem symfonicznym, jednym z najlepszych w kraju, ważnym instrumentem szerzenia kultury muzycznej — zarazem dziełem życia Jerzego Gerta. W ciągu długich lat jego kadencji Orkiestra Radia występowała regularnie na koncertach publicznych w salach koncertowych lub transmitowanych bezpośrednio ze studia dźwiękowego na fale radiowe. Orkiestra Polskiego Radia dokonała ok. 4.000 nagrań archiwalnych — m.in. pierwszego nagrania opery *Król Roger* Karola Szymanowskiego — oraz kilku wielkich produkcji, by tylko wymienić oratorium *Król Dawid* Arthura Honeggera czy misterium *Męczeństwo św. Sebastiana* Claude Debussy'ego. (w tej ostatniej miałem zaszczyt uczestniczyć jako muzyk zaangażowany do powiększonego składu).

Równoległe do kariery kapelmistrza, Jerzy Gert prowadził szeroką działalność organizacyjną. W latach 1954-57 pracował jako kierownik artystyczny Teatru Muzycznego w Krakowie, w którym wystawiono słynne operetki Imre Kálmána, Franza Lehára oraz Johanna Straussa. W 1957 r. objął stanowisko kierownika artystycznego Państwowej Filharmonii w Krakowie. Dzięki jego staraniom kalendarz koncertowy Filharmonii został wzbogacony recitalami wirtuozów tej miary co Artur Rubinstein, Światosław Richter, Emil Gilels, Izaak Stern czy Ida Haendel (w 1935 r. laureatka I-go Konkursu skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego).

Jako kompozytor obdarzony talentem melodysty Jerzy Gert dał się poznać przede wszystkim na polu piosenki. Wykreował 35 utworów tego gatunku. Niektóre spośród nich zdobyły wielką popularność jak np. *Ujrzałem ciebie wiosną*, *Uliczka w Sewilli*,

Jesienna rozłąka, *Krakowska kwiatciarka*, czy też *Z wszystkich bliskich miast*. Jego piosenki ukazywały się drukiem w Polskim Wydawnictwie Muzycznym.

Jerzy Gert należał do ludzi pracowitych i niezwykle wymagających. Na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za sprawne funkcjonowanie aparatu orkiestrowego, także za kierownictwo artystyczne i samowystarczalność budżetową. Trudności administracyjne nie były mu obce. W nagrodę za swą pracę i osiągnięcia na polu kultury został uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi : *Krzyżem kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski*, *Krzyżem oficerskim Orderu Odrodzenia Polski*, *Orderem Sztandaru Pracy*, *Medalem 10-lecia Polski Ludowej* oraz *Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki*.

W 1968 r. w czasie przygotowywania tournée koncertowego Jerzy Gert zapadł na zdrowiu. Zmarł w szpitalu dnia 5 czerwca.

Czy dziś — po pięćdziesięciu latach — wyżej wymienione fakty



pozostają jedynie wzmianką, jednym z haseł encyklopedycznych? Zapewne nie. Starsi zanuć niejedną piosenkę, oglądają na nowo znany niegdyś film, przypominają sobie wysłuchany koncert, szczególnie bliskie im nagranie, przeżyty spektakl teatralny. Młodszy odkrywają na Internecie *The Yam* czy też inną melodię orkiestry tanecznej « Odeon », dyrygowanej przez rozpoczynającego swą karierę Jerzego Gerta. Byli członkowie Orkiestry Polskiego Radia lub ich uczniowie przekażą swe doświadczenia kolejnej generacji muzyków.

Krążąc po wspomnieniach, piszę te słowa nie bez wzruszenia. Jako student miałem nie tylko okazję i zaszczyt pracować w Orkiestrze Polskiego Radia i grać kilkakrotnie pod dyrekcją Jerzego Gerta ale również — towarzysząc prof. Z. Felińskiemu — poznać go bliżej w okolicznościach nieoficjalnej atmosfery. Odkryłem w nim człowieka o zachęcającym uśmiechu, co więcej — obdarzonego specyficznym humorem. Umiał bawić zebranych niezwykle opowieściami. Jedną z nich dotyczyła pewnego indywidualium zupełnie nieobyciego lecz szukającego poklasku. W toku « salonowej » rozmowy, człowiek ten popchnięty czymś zręcznym słowem, z nieukrywaną pewnością siebie

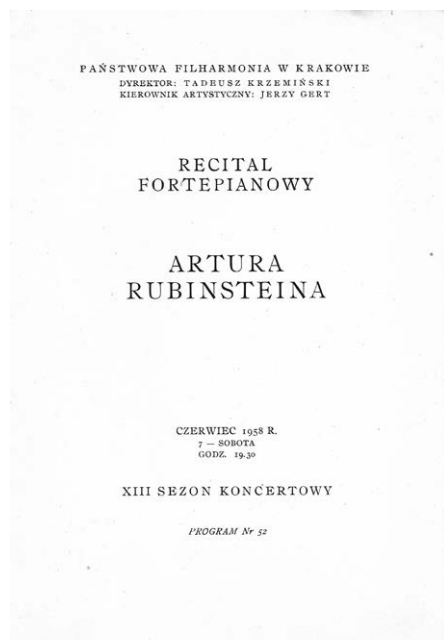
wypowiadał się na temat « ekspresji *X Symfonii* Beethovena ».

Innym razem J. Gert wspominał o niecodziennym zdarzeniu tchnącym anegdotą. Pewnego dnia, już jako ceniony dyrygent, udał się do Wiednia w celu podpisania kontraktu. Jadąc taksówką z miejscowym impresariem poruszył jakiś detal dotyczący spraw zawodowych. Nagłe wzmieszanie się szofera do rozmowy zaskoczyło ich obojgu. J. Gert — być może lekko wytrącony z równowagi, w każdym razie nie lubiący tego rodzaju ingerencji — zapytał więc kierowcy czy wie cokolwiek na temat muzyki. Nie przypuszczał, że otrzyma zdumiewającą odpowiedź. Niekiedy pewne sytuacje przybierają zupełnie nieoczekiwany obrót. Taksówkarz okazał się byłym tenorem operowym. Pomimo zamiłowania do śpiewu i odnoszonych sukcesów, w czasie występów przeżywał chwile wzmożonego stresu. Przy wykonaniu najtrudniejszych partii wokalnych nigdy nie był pewien czy uda mu się w odpowiedni sposób wydobyć wysokie dźwięki, zwłaszcza tę przysłowiową nutę « *si bemol* ». Wycofał się więc z działalności estradowej odzyskując spokój. Tym samym został jednak zmuszony do zmiany zawodu. W tej

zdziawiającej historii godnym zastanowienia pozostaje fakt, że były tenor — o czym nie omieszkał powiedzieć — wożąc luksusowym samochodem markowych gości, nie zarabiał o wiele mniej.

Przypomnę jeszcze pewne niecodzienne zdarzenie z życia Orkiestry Radiowej, które zapewne nie uszło uwagi wielu melomanów, nie mówiąc już o przypadkowych słuchaczach. Na początku lat 60. Orkiestra prezentowała emisje zbliżone doborom utworów do krótkiego koncertu symfonicznego. Jeden z nich miał się rozpocząć efektowną uwerturą rzadko grywanego włoskiego kompozytora klasycznego. Wszystko zostało już nagrane oprócz krótkiego wstępu — pierwszych taktów uwertury. Fragment ten, wysoce problematyczny, jak się okazało w praktyce, miał zostać dodany przy ostatecznym montażu całości — delikatnym przedsięwzięciu sklejanym taśmy magnetofonowej. Wówczas dokonywano montażu manualnie. Kolejne próby nagrania nie udawały się. Raz ktoś się pomylił, to znów zaskrzybiał stołek lub — jak na nieszczęście — spadło coś z pulpitu. Los jakby się sprzysiągł. Uwagi coraz bardziej niezadowolonego dyrygenta oraz czerwona lampa sygnalizująca, że nagranie trwa i że taśma w kabinie nagrań nadal się kręci, wzmagaly napięcie kilkudziesięciu muzyków. Po wielu następnym próbach upragniona wersja została zarejestrowana z sukcesem. Wszyscy odetchnęli. Jednak nie na długo. Nazajutrz, punktualnie o przewidzianej porze, speaker zapowiedział tytuł uwertury — pierwszego utworu programu. Po kilku sekundach ciszy rozległ się gromki krzyk dyrygenta: « *jeszcze jedna pomyłka i wszystkich was zaduszę* », po czym rozpoczęła się fraza pogodnej, włoskiej muzyki. Konkluzja zdaje się prosta. Orkiestry napotykają od czasu do czasu na pewne trudności. Technika nagrań nie jest ich także pozbawiona. Wszystko razem wzięwszy wydaje się, że aby osiągnąć zamierzony cel, nieustępliwość bywa często nie do odrzucenia.

W okresie swych wiedeńskich studiów, młody Jerzy Gert pasjonował



PAŃSTWOWA FILHARMONIA W KRAKOWIE
DYREKTOR: TADEUSZ KRZEMIŃSKI
KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: JERZY GERT

RECITAL
FORTEPIANOWY

ŚWIATOSŁAW
RICHTER
R S F S R

WRZESIEŃ 1958 R.
21 — NIEDZIELA
GODZ. 19.30

PROGRAM № 4

się muzyką Maxa Regera i zapewne techniką dodekafonistów. Złożoność XX-wiecznego kontrapunktu, jakby na wzór struktur ewoluującego społeczeństwa, i jemu i wielu innym, zdawała się uosobieniem postępu i gwarantem przyszłości sztuki. Po latach pracy i wciąż nowych doświadczeń Mistrz zwrócił się na nowo ku prostocie i świetlistym brzmieniom dzieł Mozarta. Stąd też jego projekt, niestety nigdy nie zrealizowany, założenia zespołu poświęconego muzyce klasycznej.

Zgodnie z rozpowszechnioną opinią, orkiestry niemieckie, w odróżnieniu od jasnych i przezroczystych — jak witraże — brzmień orkiestr francuskich, odznaczają się ciemną paletą głębokich warstw dźwięku. Być może zauroczony atmosferą zaułków starego Tarnowa, może też podatny na wpływ — z niczym nieporównywalnego — kolorytu Galicji, Maestro Jerzy Gert lubił dźwięk stonowany — daleki od jaskrawości, śpiewny, aksamitny, niekiedy zamglony: *un poco sul tasto* — według włoskiego terminu odnoszącego się do instrumentów strunowych. I w ten to właśnie sposób brzmiała Orkiestra Polskiego Radia.

Krynki, malownicza wioska



Ewa Michałowska-Walkiewicz

Polska

Tam gdzie miłość rozkwita

Nasza redakcja, w miniony weekend został zaproszony do Krynek w województwie świętokrzyskim. Przewinęło się przez nie sporo naszej narodowej historii, z których wiele spowiła wielka miłość. Towarzystwo Historyczne Renesans ze Skarżyska-Kamiennej, tam właśnie urządziło wieczór poezji o pięknych zakątkach naszego regionu.

„Gdy myślę o Tobie z daleka i z bliska
gdy noc rozpościera swe wielkie
ramiona

chcę widzieć na Krynkach ulicę Pa-
stwiska

ja miłością Twoją chcę być wciąż
niesiona”

Drewniany kościół

O drewnianym kościele na Krynkach rozpisywał się już przed wiekami Jan Długosz. Krynki wchodziły niegdyś w skład Kasztelanii Kunowskiej. Zostały one zniszczone w czasie najazdu ord tatarskich w 1241 roku. Jan Długosz w „Historii Polski” opisuje ten incydent w następujący sposób: „Większy zaś oddział, któremu sam Baty przewodził, posunął się ku Krakowowi, szercząc po drodze spustoszenia, całą okolicę miasteczka Iłży i nad rzeką Kamienną napełnił rzezią i pożogami...”. W tych zapiskach kronikarskich Długosza czytamy też i o tym jak Tatarzy pod wodzą Kaidu zdobyli Iłżę i okoliczne miejscowości, leżące nad rzeką Kamienną.



Wspomniany kronikarz opisuje też fakt zniszczenia tych miejscowości i zabicia wielu ich mieszkańców. Najeźdźcy palili osady i wsie, rabowali zagrody, a tysiące młodych ludzi uprowadzili w jasyr.

Na Wzgórzach Godowskich

Malownicze Krynki leżą na wzniesieniu Wzgórz Godowskich. Wzgórza te to najbardziej wysunięta na północny-zachód część Wyżyny Opatowskiej. Szczyt jej pokrywa kompleks leśny zwany lasami kryneckimi. Północny cypel tych wzgórz oblewany jest wodami zalewu w Brodach Iłżeckich. Z lewej strony zalewu widoczne są charakterystyczne formy zwietrzelinowe piaskowców liasowych. Ze względu na duże wartości krajobrazowe i geologiczne skałki te stanowią rezerwat geologiczny. W wąwozach lessowych wylaniają się również ostańce piaskowca o imponujących kształtach i formach. Ciekawostką jest, że na tych piaskowcach spotyka się kanaliki po robakach, ślady żerowania i tropy dawnych zwierząt. Położenie Krynek sprawia, że stanowią one miejsce malowniczych widoków na dolinę rzeki Kamiennej.

W dawnych latach

Krynki należały niegdyś do biskupów krakowskich, ponieważ usytuowana tu była kuźnica, dająca niemałe zyski właścicielom. Kuźnica realizowała szereg poważnych usług rządowych, które po wykonaniu transportowano drogą wodną do Wisły, a następnie pod dyktando króla Stanisława Augusta.

Potop szwedzki

Bardzo ważną informacją, którą podają nam rozliczne źródła historyczne, jest ta opisująca udział mieszkańców Krynek w wojnie przeciwko Szwedom. Z chwilą przybycia Stefana Czarnieckiego oraz tuż po wydaniu przez niego uniwersału dla szlachty rozwinął się tu bardzo szybko ruch wyzwolenczy. Czarniecki po zawiązaniu konfederacji 6 i 7 lutego 1656 roku w Opatowie udał się w stronę Iłży werbować w swoje szeregi ochotników. Dowodzeni przez oficerów Czarnieckiego chłopci odbili z rąk szwedzkich zamek w Iłży i Krynki. Podobno najbardziej odważnym żołnierzem był pewien pochodzący z Krynek Ireneusz, o którym pozostały do dziś wiersze i pieśni.

„Za twe szare oczy, za odwagę w sercu,
pójde ja za Tobą bronić Polski granic
wroga pełno wszędzie, tak jak maku w garncu
będziem razem bronić tych krynkowskich stanic”

Patriotyczna postawa mieszkańców Krynek

Jak podają nam różne źródła historyczne, mieszkańców Krynek cechowała zawsze patriotyczna postawa. Należy wspomnieć, że brali oni czynny udział zarówno w Powstaniu Listopadowym, jak i Styczniowym. Działania wojenne Powstania Listopadowego swym zasięgiem nie obejmowały wówczas terenów Krynek, ale położone tu kuźnice i zakłady metalurgiczne pracowały według zamierzeń Rządu Tymczasowego, dostarczając powstańcom żelaza i stali. Krynki miały w tym również swój znaczący udział. W Powstaniu Styczniowym wielu mieszkańców Krynek walczyło w szeregach polskich patriotów. Byli to między innymi: Walenty Sieroń, Kazimierz Kycek, Kazimierz Kutera i inni, którzy walczyli bezpośrednio w oddziale „Łady”. Wieś była częstym miejscem przemarszów i postojów oddziałów powstańczych, a serdeczność i pomoc ludności Krynek zostały podkreślone w zachowanych pamiętnikach powstańczych.

Okres I i II wojny światowej

I wojna światowa nie oszczędziła w swych działaniach Krynek. Wojska austriackie zajęły tereny nad Kamienną i okupowały je do 1918 roku. Okupanci na skutek prowadzenia gospodarki rabunkowej dokonali tu dużych zniszczeń. II wojna światowa odcisnęła chyba największe piętno na tych terenach. Jak cała kielecczyzna tak i mieszkańcy Krynek stawali okupantom z zachodniej granicy zacięty i bohaterski opór. Upamiętniają te wydarzenia krzyże i mogiły na cmentarzu parafialnym oraz pamięć o ludziach przechowywana w ludzkich sercach.





Stefan
Godecki

Niemcy

Pocztówki z wakacji



Jeżeli wiesz, gdzie to jest — napisz do nas!



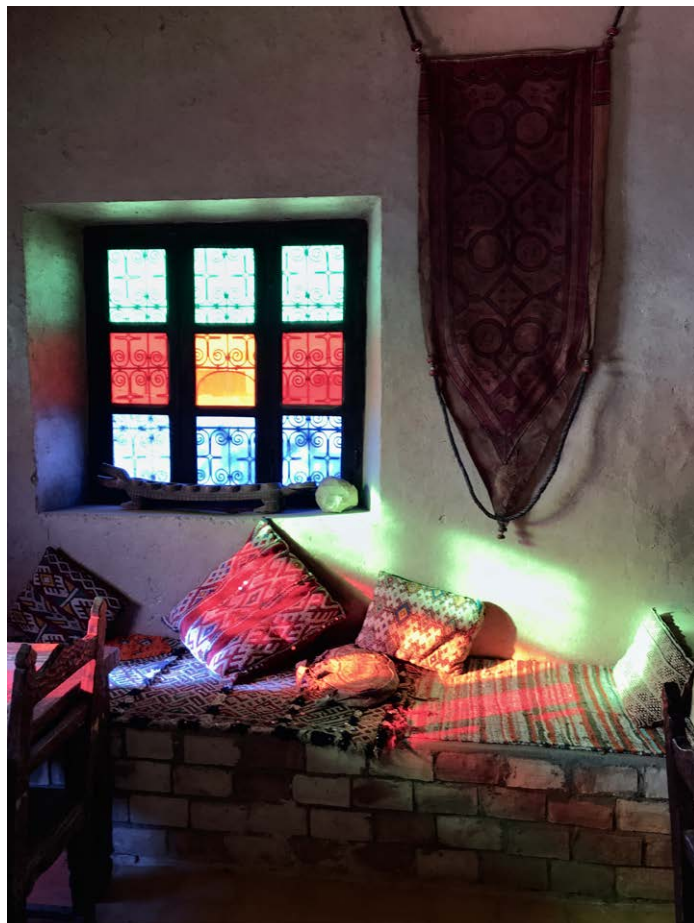
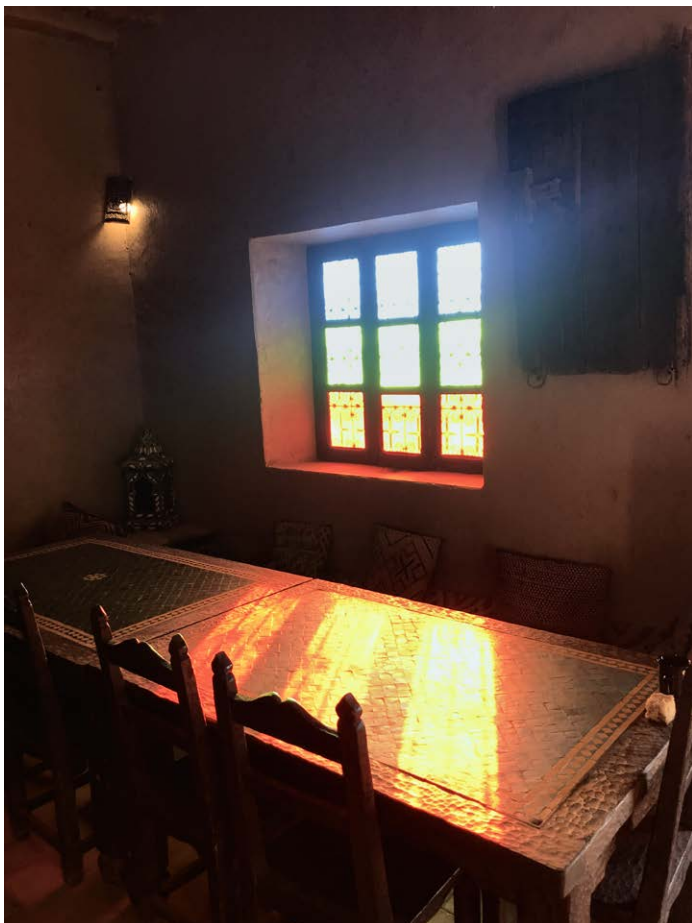
Stefan
Godecki

Niemcy

Pocztówki z wakacji



Jeżeli wiesz, gdzie to jest — napisz do nas!



Krynica-Zdrój

W Dolinie Potoku Kryniczanka



Ewa Michałowska - Walkiewicz

Polska

Krynica Górská, lub inaczej Krynica-Zdrój, to uroczne miasto województwa małopolskiego, należące do powiatu nowosądeckiego. Leży ono w Beskidzie Sądeckim, w Dolinie Potoku Kryniczanka i jego dopływów. Krynice otaczają wzgórza Góry Parkowej, Krzyżowej oraz Jasiennik. Jedną z atrakcji Krynicy jest tak zwany

Kamień Diabelski, który podobno pochodzi z czasów celtyckich.

Założenie Krynicy

W miejscu dzisiejszej Krynicy, była kiedyś wieś założona w 1547 roku, przez Danka z Miastka. Od początku istnienia wspomnianej wioski, do okresu pierwszego rozbioru Polski czyli do roku 1772, wchodziła ona

w skład tzw. Kresu Muszyńskiego należącego do biskupów krakowskich. W 1783 roku, Krynice wraz z całym majątkiem muszyńskimi przejął skarb austriacki, który wkrótce wysłał tu krajowego radcę górniczego, profesora uniwersytetu lwowskiego Baltazara Hacqueta, celem zbadania i oceny krynickich źródeł. Jego pozytywna opinia w tej kwestii, była

fot. Henryk Bilniewicz





fot. Henryk Bilniewicz

podwaliną do rozwoju krynickiego zdrojowiska.

Kamień Diabelski

Kamień Diabelski na Jaworzynie Krynickiej, to uroczy pomnik przyrody nieożywionej na wschodnich stokach najwyższego szczytu w Paśmie Jaworzyny Beskidu Sądeckiego. Znajduje się on w lesie, przy czerwonym i zielonym szlaku turystycznym, które na tym odcinku biegną wraz z narcyarską trasą zjazdową. Kamień ten, znajduje się w lesie powyżej sztucznego zbiornika z wodą. Jest to zbudowany z piaskowców ostaniec mający kształt dużego grzyba o wysokości około 5 metrów. Jego forma została ukształtowana przez działania erozyjne. Według legend i starych podań, pod tym kamieniem modlili się o przychylność losu dawni Druidzi. Nie chcieli oni oddać diabłu czci, zatem chciał on ich zabić kamieniem. Druidzi szybko schowali się przed niebezpieczeństwem, a kamień ten stoi

po dziś dzień w Krynicy, jako pomnik przyrody nieożywionej.

Okres drugiego rozbioru Polski

W 1793 roku, austriacki komisarz

Ewa Michałowska-Walkiewicz

z Nowego Sącza Franciszek Stix von Saunbergen, zakupił tu ziemię ze źródłem wody mineralnej, celem założenia zdrojowiska. Powstały tutaj zatem pierwsze domy zdrojowe, ale gwałtowny rozwój tej okolicy nastąpił dopiero po 1856 roku. Stało się



tak dzięki działalności prof. Józefa Dielta, austriackiego lekarza, W 1877 roku, kuracjuszy przyjmowało już 11 domów uzdrowiskowych oraz mogli oni stacjonować w 64 domach prywatnych, w tym samym okresie powstała też Komisja Zdrojowa. U schyłku XIX stulecia, Krynickie Zdroje odwiedzało blisko 6000 kuracjuszy rocznie. W 1885 roku przybył do uzdrowiska znany hydroterapeuta Henryk Ebers, zostając inicjatorem budowy pijalni wód. Ebers zaprosił w 1909 roku do Krynicy Rudolfa Zuber, który stał się kolejną ikoną Krynicy. W wyniku głębokich wierceń odkrył on wodę, jedną z najsilniejszych w Europie zwaną od jego nazwiska Wodą Zuber.

Wiek XX

W rok przed wybuchem II wojny światowej, Krynicę odwiedzało rocznie 38 000 osób. W styczniu 1937 roku, w Krynicy bawiła w podróży poślubnej przyszła królowa Holandii księżniczka Julianna z mężem księciem Bernardem. W okresie od stycznia 1944 roku, do lutego 1945 roku, Krynica była siedzibą ordynariusza apostolskiego łemkowszczyzny Oleksandra Małynowskiego. Wycofujący się po wojnie Niemcy, zabrali z domów zdrojowych praktycznie wszystkie urządzenia zdrojowe, a wkraczające wojska Armii Czerwonej doszczętnie resztę wyposażenia zdewastowały.

Widok z Góry Parkowej

Poza istniejącą już koleją ziemno-linową jadącą na Górę Parkową, uruchomiono dodatkowo kolejkę gondolową na Jaworzynę, która może przewieźć 1200 osób na godzinę. Inne zabytki uzdrowiska Krynica-Zdrój to Łazienki Borowinowe z 1881 roku, a także Stare Łazienki Mineralne z lat 1863–1966. W centralnej części deptaku stoi neorenesansowy Stary Dom Zdrojowy z zachowaną oryginalną salą balową, w którym mieściła się pijalnia wody „Mieczysław”. Obok Pijalni Głównej stoi z okresu międzywojennego Muszla Koncertowa. W muszli tej, wmurowana jest tablica pamiątkowa ku czci związanego z Krynicą Jana Kiepurę. Obok muszli koncertowej stoi modernistyczny Nowy Dom Zdrojowy autorstwa prof. Witolda Minikiewicza, pochodzący z 1939 roku z zachowanym wystrojem charakterystycznym dla luksusowej architektury funkcjonalistycznej lat 30. XX wieku. W Krynicy przy ul. Piłsudskiego znajduje się pomnik ku czci Wojska Polskiego z inskrypcją „Obrońcom Zwycięzcom” i pomnik Adama Mickiewicza.

Krynica-Zdrój, nie tylko zaprasza kuracjuszy i turystów, ale przede wszystkim miłośników polskiej historii. Jest tutaj świetnie rozwinięte zaplecze hotelarsko — gastro-nomiczne, zatem każdy przybysz może zatrzymać się tu przez kilka dni.

fot. Henryk Bilniewicz



